

O AKTORACH, DOMU I DZIECIACH

Rozmowa z KRYSYŃĄ JANDĄ

— Ma pani na swoim koncie wiele laurów i nagród zdobywanych w kraju i za granicą, że choćby wspomnieć nagrodę dla najlepszej aktorki w 1990 r. w Cannes i ostatnią z San Sebastian również za najlepsze aktorstwo. Czy pomagają w karierze?

— Myślę, że tak. Poza tym są miłe, bo dowodzą niejako, że jest się dobrym, cenionym, uznawanym. — Nie zapewniają jednak błogiego „dożywocia” na scenie, ekranie. Publiczność zdobywa się z trudem, ale traci łatwo...

— Czy myśli pani czasem o sobie: osiagnęłam sukces, jestem wielką gwiazdą?

— Nie! Ale też nie mam szansy specjalnie być tą wielką gwiazdą.

— Co jest rękojmnią sukcesu?

— Praca, praca i jeszcze raz praca. Oczywiście pewien splot przypadków i wydarzeń — ma też ogromne znaczenie. Ale żeby jakiś przypadek miał znaczenie, żeby z niego zrobić walor, i tak potrzeba ogromnej pracy. Nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki nie zrobiłam podsumowania. Należę więc chyba do osób pracowitych.

— Ale przede wszystkim miałam i to szczęście, że często pracowałam z ludźmi, którzy bardziej niż inni gwarantowali sukces przedsięwzięciu. I zawsze to powtarzam: film, teatr to sztuka zespołowa. A

nie ma dobrych ról w złych filmach czy przedstawieniach.

— Aktorstwo to jedyna rzecz, którą potrafię robić — wyznaje pani. Popełniłaby pani „samobójstwo” z braku artystycznej formy czy propozycji ról?

— Ja mam jeszcze tyle rzeczy w życiu do zrobienia, którymi obdzieliłabym kilka kobiet — że nie by się nie stało gdybym nie była aktorką.

— No, właśnie. Ogromny dom na głowie troje dzieci (dwoje małych). Jak pani godzi to wszystko z pracą zawodową?

— W momencie gdy przekraczam próg domu, emocje związane z zawodem nigdy nie są wyższe niż to, co spotykam w domu. Pracuję intensywnie i w teatrze, i w domu. Pod tym słowem „praca” kryje się: tyle samo emocji, tyle samo serca, energii, poświęcenia przez te pół dnia czy 4 godziny spędzone w domu. Dom jest poza tym dość uporządkowany, zadbane, wszystko jest na swoim miejscu. I uczucia, i lawenda wepchnięta między bieliznę w szafie, i desery po obiadach. Jeśli nawet nie sama je robię, to organizuję — by wszystkim było miło, dobrze. To ja jestem „dyrektorem” tego przedsiębiorstwa, które nazywa się dom. I naprawdę czuję się tu szczęśliwa i bezpieczna.

— Należę pani do kobiet wyjątkowych, które bez uza-

lania się na swój los, intensywną pracę zawodową godzą z obowiązkami domowymi.

— Rodzina wprowadza ład i harmonię do mojego życia. Bez niej pewnie bym oszalała w natłoku ludzkich zawiłości wokół nas, z którymi próbuję się uporać na scenie i ekranie. Dom w Milanówku to moje poczucie bezpieczeństwa.

Rozmawiała:

TERESA KWAŚNIEWSKA